

IRENA MROZOWICKA

PO ZWYCIĘSTWIE

POWIEŚĆ

(Ciąg dalszy.)

— Cóż to za spiski knujecie państwo? — spytała, opierając z piśszczotliwym wdziękiem białą rączkę na ramieniu Ewy. Ale dziewczyna szybkim ruchem, prawie mimowolnie usunęła się od tej piśszczoty.

— Mówimy, że czas nam już jechać, więc Zygmunt nas odwiezie — odpowiedziała Stefa krótko, patrząc w oczy Wandy wzrokiem zimnym, omal wyzywającym.

Nie wyciągnęła nawet ręki na pożegnanie — w duszy odpychała ją coś od dawnej koleżanki, jak od wroga, a nie umiała nienawidzić z uprzejmym uśmiechem. Wanda za to posiadała tę sztukę do gruntu.

— Jedziecie teraz, przed kotylionem? co za myśl dziwna, przeciw wykonaniu której, ja, jako gospodyni, kładę veto. Gdzież można wywozić takie dziewczątka, jak Ewcia, w polowie balu! ona teraz dopiero, poznawszy bliżej towarzystwo, najlepiej bawić się będzie. Jeżeli ty sama nie masz już upodobania do tańca, to nie psujże zabawy siostrze.

Każde słowo Wandy, wyznaczające niby Stefie stanowisko starej panny, nie mającej już nic do czynienia na balu, okryło jej twarz rumieńcem upokorzenia i gniewu. Jednak nie mogła, nie umiała się bronić — taka wymiana drobnych a ostrych docinków, w której celują najpłytsze umysły kobiece, jej wydawała się czemś lichem i upokarzającym.

— No, Stefa, bądź dobra! ja ci w nagrodę wyszukam doskonałego dansera do kotyliona — namawiała Wanda, uśmiechając się swoim najśłodszym uśmiechem.

— Nie trudź się, proszę; jutro dzień powszedni i ja o ósmej muszę być w biurze — dobranoc!

— A co, nie mówiłam, że ona zawsze musi mieć cyrkiel mierniczy w ręku — rzuciła Wanda do ucha Zygmunta, gdy obie siostry zwróciły się ku drzwiom.

On zamiast odpowiedzi pochylił się przed nią z ukłonem — nie chciał potwierdzić słów zawierających naganę dla Stefy, a nie mógł zdobyć się na odwagę zaprzeczenia w czemkolwiek tym ustom, które do niego umiały się tak uśmiechać i szeptać takie słowa.

Wanda spojrzała na niego z doskonale odegranym zdziwieniem.

— Jak to pan się żegna? a nasz kotylion?...

— Kotylion... pani darte... ale podjąłem się przecież opiekować temi paniami, więc nie mogę... pani sama widzi — tłumaczył się zmięszany, łowiący uchem zarówno szmer głosów Stefy i Ewci, żegnających się w przedpokoju z profesorem, jak i rozmarzone takty walca, dające hasło do rozpoczęcia "naszego kotyliona". Duszą był w przedpokoju, u boku błękitnej sukienki, którą pragnął otulić przed zimnem i bezpiecznie odprowadzić do domu — ale oczy Wandy, jej uśmiech rozkoszny, gdy wymawiała słowo "nasz", wspomnienie kolacji i toastów, w których przez nieuwagę niby, mieniała swój i jego kieliszek, przykuwały go na miejscu.

— Ja widzę tylko, że pan "nie może" opuścić kotyliona — i ja także nie mogę... nie mogę panu dać urlopu — przecież teraz nie znalazłabym już pewnie drugiego dansera, odmówiłam już tylu panom, tylu przez pana narobiłam sobie nieprzyjaciół... — śmiała się niby figlarnie, choć oczy jej błyskały gorąco, nadając słowom inne, głębsze znaczenie.

Rozmawiając postąpili parę kroków i stanęli teraz we drzwiach przedpokoju, w którym Kłopotkiewicz rozbijał się wśród stosu futer, szukając czapeczki Stefy.

— Kaziu! — odezwała się nagle piękna pani — przysła mi wyborna myśl: ty odwieziesz Stefę i Ewcię do domu, skoro się już tak uparły, że muszą jechać, bo pana Zygmunta konfiskuję na kotyliona.

Przyjęto tę propozycję w zgodnym milczeniu. Profesor zdziwiony, zmięszany, przestraszony nieco swoją rolą, wysunął się do sąsiedniej sypialni po futro, Stefa bez słowa zapinała Ewci zarzutkę na piersiach, Zygmunt patrzył na obie, myśląc: — Przecież widzą dobrze, że to nie moja wina; gdy zaangażowałem do kotyliona, muszę zostać; to raczej one mogłyby się tak nie spieszyć.

Wrócił Kłopotkiewicz w przedpotopowym futrze i olbrzymiej czapce barankowej, którą przez zapomnienie nasadził już w pokoju, ubierając się.

— No, spodziewam się, że wam dałam dobrą opiekę: dawny profesor i człowiek żonaty daleko odpowiedniejszy do tej roli niż pan Zygmunt — śmiała się Wanda trochę ironicznie.

Stefa przechodząc podała im obojgu rękę.

— Przyjdiesz jutro? — zapytała, podnosząc na niego swoje oczy szare, takie poważne, jakby nie wracały właśnie z balu, nie unosiły ze sobą obrazu barwnych strojów, uśmiechniętych twarzy, świateł i kwiatów.

— Przyjdę, naturalnie, przyjdę wcześniej — odrzucił skwapliwie, ściskając serdecznie jej rękę. Jemu samemu sprawiła ulgę i radość myśl, że po tej nocy balowej przyjdzie jutro bez balu, bez pani Wandy, bez toastów i kotyliona, tylko z cichą szarą godzinką, spędzaną na poufnej pogadance w około łóżka ciocie Kryści.

Ewcia wyszła prawie bez pożegnania: miała ręce uwięzione w zaręczawku i oczy przysłonięte rzęsami, w progu dopiero gdy Zygmunt sam przed niemi drzwi otworzył, spojrzała na niego i szepnęła: Do zobaczenia.

Po ich odejściu stał jeszcze chwilę z ręką opartą na klamce, chmurny i zamyślony. — Nie traćmy czasu, graj walca — rzekła Wanda stając przy nim w postawie takiej, jakby była gotowa już tu w przedpokoju pozwolić się objąć i unieść w wir tańca. Ale Zygmunt ceremonialnie podał jej ramię i wprowadził do salonu. Jej, uśmiech tryumfu nie zniknął z twarzy, pomimo że widziała jego ściągnięte brwi i roztargnione oczy — czuła się dość silną, aby wytoczyć walkę takim wyrzutom sumienia i cnotliwym postanowieniom — była zresztą gotowa na szalę tej walki rzucić dużo... bardzo dużo...

— Dlaczego wstałaś tak wcześniej? — spytała Stefa, gdy nazajutrz zbudziwszy się, zobaczyła łóżko Ewci już puste, a ją samą krzątającą się w drugim pokoju około rannej kawy. — Poszłyśmy spać o trzeciej, musisz być bardzo zmęczona.

— O nie, wyspałam się dość — odparła Ewcia, a leciutki rumieniec wypłynął na jej bladą twarzyczkę. — Mama także czuwała tak długo, jak my, chciałam, żeby zbudziwszy się, zastała już kawę gotową.

— Proszę cię, schowaj za mnie suknię, bo ja się już i tak spóźniłam. Ach, ale gdzie ona jest? zdawało mi się, że ją tu powiesiła na oknie — dodała, rozglądając się ze zdziwieniem po pokoju.

— Poskładałam już wszystko — szepnęła Ewcia.

Istotnie, wstawszy rano, wzięła się najpierw do pochowania wczorajszych sukien, trzewiczków, okrywek; z jakimś dziwnym pośpiechem starała się usunąć najbliższy ślad tego nieładu, jaki pozostawiają po sobie przed-

balowe przygotowania; schować jak najgłębiej każdy szczegół tej toalety, w którą stroiła się wczoraj z takim radosnym biciem serca. Zdawało jej się prawie, że gdy wszystko w pokoju wróci do zwykłego porządku, — i w jej pamięci zatrze się także wspomnienie tego, o czym zapomnieć pragnęła.

Stefa nie zwróciła uwagi na bladeść i dziwne zachowanie siostrzyczki; wypila śniadanie w milczeniu i codziennym zwyczajem pocałował ją w czoło, wyszła do biura. Późno już było; po raz pierwszy może od czasu jak pracowała u pana Wimpera, miała nie stawić się w biurze na oznaczoną godzinę; jednak nie przyspieszała kroku, czuła się zmęczoną i obojętną, doznawała wrażenia, jakby wszystkie ambicje, chęci, nadzieje, które wczoraj jeszcze tak gorącym płomieniem paliły się w jej duszy, dziś przygasty i tliły się zaledwie słabą iskierką, ukrytą pod popiołami. Było jej tak wszystko jedno, czy pan Wimper rzuci je słowa uznania czy nagany, czy koleżdy zaczną drwić w żywe oczy z nieudolności i nieakuratności kobiecej, nawet czy robota, którą się podjęła wykonać, będzie gotową na czas. Cokolwiekby zaszło tam, w biurze, dzień dzisiejszy nie będzie już dla niej podobnym do tych wszystkich dni, które przeżyła od chwili przyjazdu Zygmunta w jakimś radosnym upojeniu, w oczekiwaniu jakiegoś szczęścia, które zdawało się iść ku niej powoli ale wytrwale, wysyłając jej już naprzód swoje promienie, jak gdyby chcąc ją z blaskiem swoim oswoić. Wiedziała, że dni takie nie wrócą już — i nieustannie czuła w sercu ból dojmujący, na wspomnienie spojrzeń, jakimi oczy Zygmunta i Wandy łączyły się w czasie kolacji. Choć Zygmunt dotąd jeszcze ani razu nie powiedział jej, że ją kocha i chce się z nią ożenić, choć ona sama nie pozwalała sobie o tem myśleć wyraźnie i tego pragnąć — teraz wydawało jej się, że to wszystko jeszcze do wczoraj było, lub mogło być — a że dziś odbiegło ją na zawsze, pozostawiając jej życie takim szarem i pustem, odartem ze wszystkiego.

— Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy — prawda, a jednak... gdyby róż nie było, czyżby żyć było warto?

Na rogu ulicy młody żebrak o kuli wyciągnął do niej rękę. Nie dawała nigdy jałmużny na ulicy, wierzyła, że jest to tylko wspomnieniem próżniactwa i mnożeniem nędzy, dziś jednak sięgnęła skwapliwie do kieszeni, ale spostrzegła, że wyszła z domu bez pugilaresu. To spostrzeżenie przypomniło jej, że dziś jest właśnie pierwszego i w biurze będą wypłacać pensję.

Gdy wchodziła do pierwszego pokoju, praktykanci wszyscy siedzieli już pochyleni nad robotą. Mało który odwrócił się, aby jej skinąć głową, ale gdy była już we drzwiach usłyszała poza sobą ironiczny śmiech.

— Pół do dziesiątej! to jest ta wzorowa kobieca pilność, która mnie kosztuje dwanaście koron miesięcznie — mruknął jeden z piszących z pasją.

— Pana dwanaście, a mnie niby sześć, ale u mnie chyba jeszcze większa dziura w kieszeni — nim tłusty schudnie, chudego dyabli wezmą.

— O znalazłeś pan tłustego! ze stu złr. pensyi, to prędzej można umrzeć z głodu niż utyć.

— Czeka pan, czekaj! będziesz tu jeszcze biegał i za dwadzieścia pięć i dziękował jeszcze, że biorą pana, a nie jakąś jejmość pannę, z inżynierskim patentem.

— Prawda, one teraz wszystkie z patentem i z medalem; ale że im się chce z takimi kwalifikacjami za takie pieniądze pracować i jeszcze nam szkodzić!

(Ciąg dalszy nastąpi.)